NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 3 października 1914.** **Nr. 40.**

Z walk w Galicyi.



Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy IV-ty kwartał XI-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem prenumeraty do **7 października** nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 koron	17·— marek
Półrocznie	8 „	8·50 „
Kwartalnie	4 „	4·25 „

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę **wszystkie księgarnie** tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

W. Biernacki i Spółka w Warszawie
Krakowskie Przedmieście 6.

Prenumerata wynosi:

Rocznie 7 Rbs. 20 kop. — z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Półrocznie 3 Rbs. 60 kop. — z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop.

Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

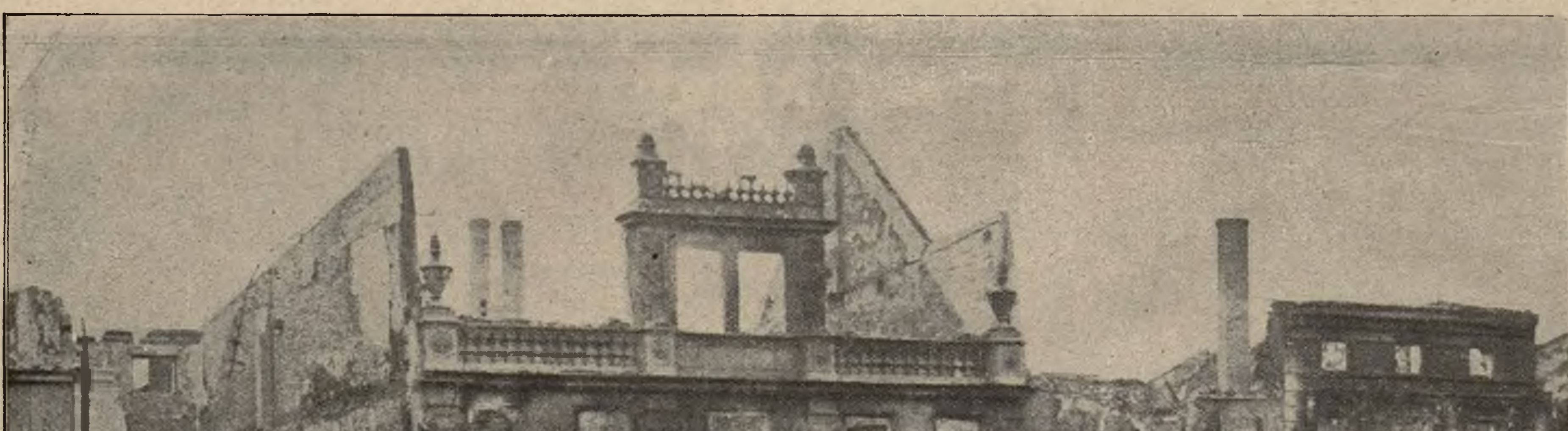
Z walk w Galicyi.

(Do illustracyi tytułowej).

Straszne bitwy, jakich terenem jeszcze nie dawno były wschodnie powiaty naszego kraju, ustąpiły miejsca spokojniejszym operacyom wojennym. Stojące naprzeciw siebie armie przygotowują się do decydujących walk, osaczając się i umacniając teren. W chwilach takich europejskie armie zapewniają sobie komunikacyę na tyłach, furaż i uzupełniając szeregi, dowożą amunicyę i t. p., wojska zaś rosyjskie, które wkroczyły do Galicyi z całym taborem, postępują sobie inaczej. Podczas gdy pułki liniowe i artylerya formują front, osławieni kozacy grasują w najdalej wysuniętych punktach, paląc i plądrując przyległe miejscowości. Luźne watahy kozackie, zapuszczając swe zagony w dalekich promieniach od armii, stoją z nią w słabym kontakcie. Nie napotykając wojsk nieprzyjacielskich, zapędzają się kozacy w głąb kraju jak np. w ostatnich dniach aż na Węgry, przez nieobsadzone przełęcze karpackie. Zjawienie się tych dzikich forpoczt rosyjskich znaczy się wszędzie trupami i zgliszczami. To też pogłoski o ich pochodzie sieją dokoła popłoch, a ludność jak



Na teatrze wojny europejskiej: Korespondenci wojenni w austryackiej kwaterze prasowej. Pułk. Hoen (×) dyktuje ostatnie wiadomości.



Pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich: Wojska niemieckie w zniszczonym przez Rosyan Działdowie.





Wnętrze katedry. **Pobita Belgia:** Lowanium po zbombardowaniu. Westibul Biblioteki.

może broni się przed tą dziczą, którą mały nawet oddział regularnego wojska przepędza dziesiątkując. Takiemi to wojskami anonsuje swój pochód armia rosyjska. Godne są jej zaiste te forpoczty mongolskie Nasza illustracya przedstawia jedną utarczkę w Galicyi, gdzie kozacy natrafiwszy na silny opór rzucili się natychmiast do ucieczki.



Tragiczna śmierć legionisty: S. p. por. Stanisław Krynicki.

Tragiczna śmierć legionisty.

W początkach września stracił w tragiczny sposób pierwszy pułk Legionu wybitnego oficera Stanisława Krynickiego, który utonął w nurtach Wisły przy szukaniu brodu dla walczącego oddziału.

S. p. St. Krynicki, 26 lat liczący, z pochodzenia Lwowianin, brał czynny udział w organizacyach bojowych i „Strzelcu" już od roku 1909, łącząc studya uniwersyteckie historyi z systematyczną nauką wyższej wiedzy w...skowej. Z prac historycznych wyróżniała się jego rozprawa o „Armii warszawskiej 1809—12" i o „Wpływie terenu na działania wojenne roku 1863", a nadto był autorem „Ustawy strzeleckiej" i współpracownikiem „Regulaminu wojsk pieszych" oraz współredaktorem miesięcznika „Strzelec", w którym pod pseudonimem Tymkowicza umieszczał fachowe artykuły. W pracy organizatorskiej wyszczególnił się zwłaszcza, stwarzając wśród trudnych warunków oddział robotniczy wa Lwowie i oddział żeński Związku strzeleckiego.

Po wybuchu wojny był komendantem etapowym Strzelców w Krakowie i członkiem departamentu wojskowego Naczelnego Komitetu Narodowego. Na własne żądanie został zaraz w początku wysłany w pole, gdzie tak tragicznie zginął, nie używszy swej wiedzy i zapału, który tego legionistę polskiego pchał do walki z Moskwą.

Anglia w wojnie europejskiej.

Potężna władczyni mórz — otrzymała cios, srogi i nieoczekiwany, przekonała się aż nazbyt przykro, że i na oceanie nie jest niepokonaną. W jednej walce morskiej całej eskadry angielskiej z niemiecką łodzią podwodną „U 9", pod Hoek van Holland zniszczone zostały trzy krążowniki angielskie, idąc na dno w ciągu kilku minut i bez wystrzału. Sukces ten wielki niemieckiej łodzi podwodnej rzucił niemały popłoch na Wielką Brytanię, olbrzymie jej bowiem dreadnoughty i naddreadnoughty stały się kolosami bez większej wartości wobec śmiałych i udanych ataków świetnych torpedowców i łodzi podwodnych niemieckich. Flota niemiecka, mniejsza o połowę, unika spotkania w większej bitwie na pełnem morzu, bo tam przewaga Anglii zapewnia jej stanowczo zwycięstwo, lecz dotychczasowa taktyka admiralicyi niemieckiej w kierunku walki podjazdowej przyniosła jej wielkie korzyści. Znając swą słabą stronę, flota niemiecka poprzestaje na blokowaniu wybrzeży i minowaniu cieśnin oraz sporadycznych wycieczkach szybkich okrętów i najdoskonalszej w świecie floty podwodnej. Porażka Anglików pod Hoek van Holland jest zaiste nadzwyczajną, a zaszła w sposób następujący: Dnia 22 z. m. nad ranem łódź „U 9" odjechała od wybrzeża holandzkiego na 20 klm. i zauważyła trzy wielkie krążowniki angielskie, płynące obok siebie. Kapitan łodzi, Otto Wedingen, postanowił je zaatakować i zaczął od płynącego w środku krążownika „Abukir". Zaraz pierwszy strzał torpedowy, dany z łodzi, trafił celnie krążownik, który po kilku minutach zatonął. Ukrywszy się na chwilę, łódź ponowiła atak torpedowy na drugi krążownik „Hogue" i wreszcie na trzeci „Cressy". Oba następne ataki, podobnie jak i pierwszy, były dla krążowników śmiertelne, każdy z nich, celnie trafiony, szedł na dno natychmiast. Zaskoczone niespodzianą klęską, zadaną od niewidzianego wroga — krążowniki angielskie nie miały czasu nawet wystrzelić, poszukując w falach łodzi, która jednak, dokonawszy świetnie zniszczenia, nienaruszona umknęła. Statki holenderskie wyratowały część załogi zatopionych okrętów.

Z innych sukcesów floty niemieckiej podnieść należy wspaniały atak innej łodzi podwodnej „U 21", która w początkach bieżącego miesiąca zatopiła angielski krążownik „Pathfinder". Tej łodzi jednak nie



Na teatrze wojny europejskiej: Zdjęcie Paryża, dokonane z balonu Zeppelina.





Sciana domu belgijskiego, podziurawiona kulami. **Na teatrze wojny europejskiej:** Gruzy z domu, trafionego bombą z aeroplanu.

udało się wyjść z walki cało, została bowiem uszkodzona całkowicie, uwożąc jednak załogę szczęśliwie do bezpiecznych portów.

Również „Königsberg“ odniósł na Oceanie indyjskim koło Zanzibaru zwycięstwo, niszcząc mniejszy krążownik angielski „Pegasus“.

Inny znów krążownik „Emden“ odbył wspaniałą wycieczkę koło wybrzeży Indyi Wschodnich, przyczem zabrał do niewoli sześć angielskich okrętów handlowych i wyrządził żegludze w zatoce Bengalskiej szkodę do 18 milionów koron oraz szereg przykrych „niespodzianek“ w koloniach angielskich i uciekł pomyślnie przed powolnym pościgiem angielskim. Okazało się bowiem, że mniejsze krążowniki niemieckie posiadają większą od angielskich szybkość, która czyni je dla nich bardzo niebezpiecznymi i nieuchwytnymi. Mimo tych sukcesów flota niemiecka poniosła także niemałe straty. Dwa wielkie krążowniki „Goeben“ i „Breslau“, zagrożone poważnie na morzu Śródziemnem, musiały Niemcy sprzedać Turcyi, a nadto sześć mniejszych krążowników niemieckich oraz kilka okrętów pomocniczych zatonęło w walkach z Anglikami. Porównując jednak te straty z angielskiemi, widzi się, że Anglia znacznie więcej ucierpiała, a co najważniejsze, straciła ten „préstige“ niepokonalnej potencyi morskiej. Według opinii fachowców, klęska Anglii pod Hoek van Holland wykazała konieczność zmiany jej obecnej taktyki blokowania wybrzeży i wogóle walki morskiej, w której pancerne kolosy stały się bezsilne wobec ataków łodzi podwodnych i strasznych ich pocisków torpedowych.

Tak więc na wszystkich polach: na lądzie we Francyi, gdzie armia niemiecka przepędziła korpusy pomocnicze angielskie, przyczem w zabitych, rannych i jeńcach straciły one do pięciu tysięcy ludzi, w tem ponad tysiąc samych oficerów, dalej obecnie na morzu ponieśli Anglicy ciężkie straty i odkryli słabe i to bardzo słabe strony swej armady. Mało na tem, Zeppeliny niemieckie okazały się pierwszorzędnym środkiem walki, który dotychczasową osłonę brytyjskich wyspiarzy — kanał La Manche — czyni małoznacznym. Jako więc konsekwencya dotychczasowych starć i bitew ujawniła się pozytywna i moralna klęska Anglii.



Po zajęciu Lwowa: Ks. arcybiskup Szeptycki, metropolita grecko-katolicki.

Po zajęciu Lwowa.

Jak doniosły telegramy urzędowe, wojska austryackie opuściły Lwów, aby nie narazić miasta na zniszczenie od strzałów armatnich, zwłaszcza, że nie ma ten punkt żadnego wybitniejszego znaczenia strategicznego.

Po wyjściu naszej armii wkroczyły tam oddziały Moskali, nie zachowywały się jednak tak grzecznie, jak tu i ówdzie wspominano, owszem zaczęły zaraz gospodarkę na swój sposób.

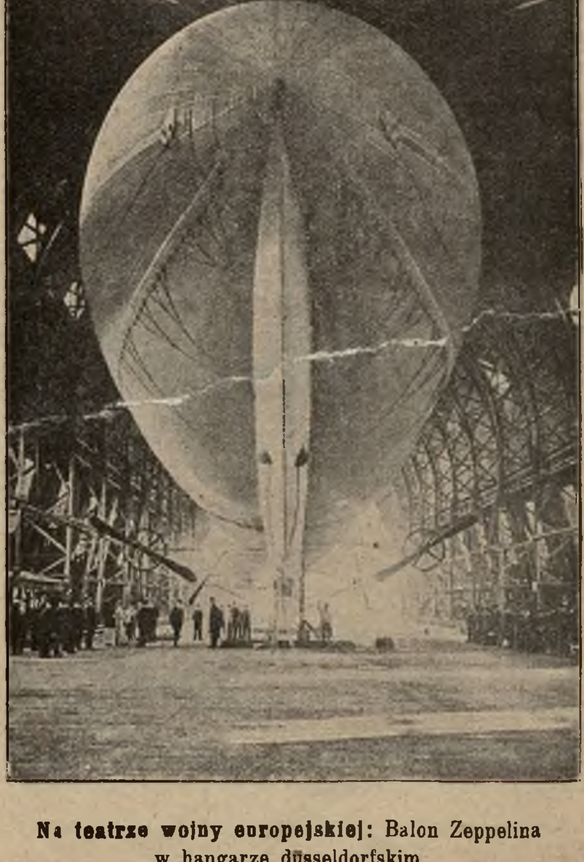
Jedną z pierwszych ofiar rosyjskiego systemu był metropolita grecko katolicki, ksiądz arcybiskup Andrzej Szeptycki, którego wywieziono w głąb Rosyi, przeznaczając mu jako miejsce pobytu Niżny Nowogród.

Arcybiskup Szeptycki, gorący zwolennik Unii całego Kościoła wschodniego z Rzymem, był oddawna solą w oku dla członków petersb. Synodu, nic też dziwnego że gorliwość swą przypłacił utratą wolności.

Gdy położenie stawało się niepewnem, doradzano, by opuścił Lwów i przeniósł się w bezpieczniejsze okolice, odpowiedział jednak, że nie ruszy się z miejsca, obowiązkiem bowiem pasterza jest pozostać tam, gdzie jest jego owczarnia, zwłaszcza, jeśli grozi jej niebezpieczeństwo.



Anglia w wojnie europejskiej: Krażownik angielski „Abukir“, zatopiony przez niemiecką łódź podwodną.



Na teatrze wojny europejskiej: Balon Zeppelina w hangarze düsseldorfskim.

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

14

— Wiecie, — rzekł po chwili, — dopłaciłbym chętnie, ażeby nie jechać.

— To trudno, — powiedział prezes głosem stanowczym, — dałeś radca słowo i nie możesz się cofnąć.

— Wiem, wiem, ale... gdyby...

Wtem podszedł chłopak i rzekł:

— Do pana radcy Szabelskiego telefon.

— Do mnie? — zdziwił się, — kto taki?

— Pewno jakaś panna, bo głos cienki, — zaśmiał się.

— Ho, ho, radca bałamut, — śmiał się Orszycki, a za nim inni, zaś Blum dodał:

— I komu to umizgać się do panien? Stary, łysawy... powiem żonie.

— No, no, taki stary nie jestem, — uśmiechnął się Szabelski, któremu pochlebiały przypuszczenia towarzyszów. Wstał, uczuwając pewną dumę, że zawołano go do telefonu i rzekł w rodzaju pożegnania:

— Zaraz wrócę.

Podszedł do telefonu i zaczął rozmowę:

— Kto tam?

— To ty Ferdziu? — poznał głos Natalci.

— Ja... a ty gdzie?

— Załatwiam ostatnie sprawunki. Czy jest z tobą Winecki?

— Jest na piwie, dlaczego pytasz o niego?

— Dowiedz się, Ferdziu, ale tak delikatnie... politycznie... jak ty to umiesz... czy ciotka jego, panna Walerya, jedzie do Grotowa i kiedy?

— A tobie naco ta wiadomość?

— Potrzebuję! Idź, dowiedz się, tylko ostrożnie i nie mów, że to ja pytam, tylko ktoś z miasta. Rozumiesz?

— No... tak.

— Idź... czekam przy telefonie.

Szabelski wrócił do stołu, napił się piwa, a Orszycki spytał:

— Cóż? ładna panna telefonowała?

— To z miasta... w interesie nie tyle do mnie, ile do ciebie, Jasiu.

— Do mnie? — zdziwił się Winecki.

— To jest tak... Ktoś zapytuje, czy to prawda, że twoja ciotka, panna Walerya, jedzie do Grotowa?

— To dziwne, jak się miasto nami interesuje, — rzekł z niesmakiem Winecki, — poprostu śledzi każdy nasz krok.

— Cóż, Jasiu, jedzie czy nie?

— A dyabli komu do tego? — zawołał gniewnie, — może jedzie, może nie.

— Ale mnie proszono o wiadomość, — tłómaczył Szabelski, — stawiasz mie w przykrej pozycyi, niby jestem twoim przyjacielem, a nie wiem.

— Kto się pyta?

— Znajomy.

— Powiedz, niech jutro przyjdzie na dworzec, to się dowie.

— Więc ona jutro jedzie?

— Cóż ci na tem zależy?

— On czeka na odpowiedź przy telefonie.

— Niech czeka.

Wmieszał się do tej rozmowy Blum i rzekł z powagą:

— Nie rozumiem twoich wzdragań panie budowniczy, jeśli ona jedzie, albo też nie jedzie, przecież tajemnicą nie zostanie.

— To samo i ja miałem powiedzieć, — dodał Orszycki.

— A mnie zależy na tajemnicy, — bronił się Winecki, — gdyż to niespodzianka dla żony.

— Hm... jeśli niespodzianka, to co innego, — zauważył Blum, — no i jaka?

— Uważacie, tak narzekała moja żona, że będzie sama, taka opuszczona i tak nalegała, ażebym powiedział kiedy zjadę, że dla jej uspokojenia namówiłem ciotkę, ażeby jej towarzyszyła.

— No, i zgodziła się? — spytał Orszycki.

— Wzdragała się, bo ona bardzo pobożna i każdego dnia słucha mszy świętej, ale upewniłem ją, że w Grotowie jest kościół i dziś wieczorem przyrzekła mi, że pojedzie.

— Czy jutro? — wstał Szabelski zaniepokojony zwłoką i czekaniem Natalci.

— Jutro, ale pamiętaj Ferdziu, że to tajemnica i zepsujesz mi niespodziankę, — upominał Winecki.

— Dobrze... dobrze, — szedł spiesznie do telefonu i przyłożywszy słuchawkę rzekł: — jestem, Natalciu.

— Cóżeś tak marudził, pół miasta mogłabym była kupić przez ten czas. No, gadaj!

— Zaraz!... Nie mogłem przecież takiego delikatnego polecenia wykonać nagle, sfuszerować byle jak...

— Dosyć, Ferdziu! I tak czekałam co najmniej pół godziny, boś pewno gadał o czem innem, chociaż prosiłam cię o pośpiech, ale czy ty mnie kiedy posłuchasz? Pamiętasz jak cię prosiłam, ażebyś mi kupił najprostszy muślin czarny do okien, od much; dałam ci nawet próbkę, a ty co kupiłeś?

— Wiem... wiem, — westchnął, — ale cię przeprosiłem, a ty mi wypominasz nieustannie i czy to moja była wina?

— Ja? Nieustannie? A wiesz, tego się nie spodziewałam...

— Proszę pana, czy już? — spytał niecierpliwie ktoś czekający na telefon.

— Widzi pan, że rozmawiam, — odrzekł obrażonym głosem Szabelski, i mówił dalej do słuchawki: — Otóż Natalciu, to jest wielka tajemnica i nikomu, a przedewszystkiem Romci ani słowa. Dobrze?

— Dobrze! Cóż, jedzie, czy nie?

— Jedzie.

— Kiedy?

— Jutro rano.

— Także wybrał towarzyszkę!? — zaśmiała się drwiąco, — a ty długo zostaniesz na piwie?

— Jeszcze z pół godzinki.

— Jeśli dobrze się bawisz, zostań dłużej, ja mam jeszcze kilka sprawunków aż na Kazimierzu... Do widzenia Ferdziu.

— Do widzenia! — kłaniał się w otwór telefonu, — całuję twe łapki, — cmoknął, — i proszę cię, siadaj w tramwaj, bo Mimuś się zmęczy i... — nie dokończył zdania, posłyszał bowiem odłożenie słuchawki.

— Ależ się spieszy, — szepnął niezadowolony i poszedł do swego towarzystwa.

Tym razem zgadł Szabelski, istotnie Natalcia bardzo się spieszyła, całe bowiem towarzystwo oczekiwało niecierpliwie wiadomości, czy ciotka Walercia jedzie do Grotowa.

— No i cóż? — spytał zaniepokojony Bachmacki wchodzącą do gabinetu Natalcię, — pewno nic nie wie, jak zwykle każdy mąż, — zaśmiał się z przymusem.

Natalcia w milczeniu przeszła wzdłuż gabinetu do swego miejsca, a Niedzicki kończąc kieliszek wina rzekł ze śmiechem:

— Ja wiem, co było... Pan Szabelski powiedział głosem spiskowca: Natalciu, to tajemnica, wielka tajemnica! — naśladował głos i minę męża Natalci, która wybuchając śmiechem zawołała:

— Zgadłeś... panie Lolu... tak było!

— A więc jedzie ta sfrólżliwa dewotka, — rzekł Bachmacki i z pretensyą spojrzał na Romcię, która szepnęła z żalem:

— Czy to moja wina?

— Naturalnie, że pani, — śmiał się Marski, — bo i jak można było brać męża z taką ciotką!?

— Cicho! — zawołał Niedzicki, — pani Natalcia ma głos! Słuchamy!

— Co miałam powiedzieć, już wiecie. Panna Walerya jedzie z Romcią jutro rano.

— A bodaj ją paraliż! — syknął Bachmacki.

— Fe! Wstydź się pan! — oburzyła się Romcia, — co ona winna? Usłuchała tylko prośby męża mego, nic więcej, a pan tak brzydko przeklina.

— A czyż nie może pilnować kruchty i kościoła, zamiast jechać na wieś? — powiedział Bachmacki rozdrażniony.

— Ale właściwie co to panu szkodzi? — udała zdziwioną Romcia, — ona taka cicha, spokojna, zatopiona w rozmyślaniach pobożnych.

— Istotnie, co ci to szkodzi? — gromił go Niedzicki z poważną miną, — dama w pewnym wieku przy młodej mężatce jest w dobrym tonie, chroni od plotek i nie dopuszcza do wybryków.

Wszyscy śmiali się z gniewnej miny Bachmackiego, który zawołał:

— A bodajżeś miał na karku teściową, dwie stryjenki i pięć ciotek, a wówczas ja ci powiem, co ci to szkodzi?

— Bo też nicby mi nie szkodziło, tylko trzeba mieć głowę na karku.

— O tak! tak! — śmiała się Natalcia, — Lolek byłby w łaskach u wszystkich.

— Porządek przedewszystkiem! — zawołał nagle Marski, — musimy się obliczyć z faktem, że ciocia jedzie, co grozi do pewnego stopnia nam wszystkim.

— Jakto wszystkim? — zdziwiła się naiwnie Romcia.

Marski, który powoli i pracowicie myślał, ale co przemyślał, systematycznie opowiadał, zaczął:

— Ciocia jedzie... Mniejsza już o Bolka, — spojrzał na Bachmackiego, — ten niech sobie radzi z ciocią domowym sposobem, ale my?.., Na panią Romcię ciocia może mieć jakiś wzgląd, ale na nas, żadnego! natychmiast powie lub napisze do swego siostrzeńca, że tacy a tacy jechali razem... rozmawiali... oczkowali... umizgali się... i skandal!... Mężowie zjeżdżają, następują sceny, awantury... — zmilkł i zmęczony wrażeniemi wypił kieliszek wina.

Panie spospępniały, bo zawsze to rzecz niemiła, gdy mąż zaczyna coś podejrzywać i dochodzić; nagle odezwał się Bachmacki:

— Może ciocia jest analfabetką, a w każdym razie takie panie nie lubią wystawiać dokumentów pisanych, wolą opowiadać szeroko i długo, a to już od nas zależy, ażeby ją ułagodzić.

— Dla nas dobrze, — rzekła Natalcia z przekąsem, — i w Grotowie będzie spokój, ale co będzie, jak my powrócimy?

— Pomyślimy, pani Natalciu, — uśmiechnął się Niedzicki, — znajdziemy sposób, nic łatwiejszego jak mężów zablagować. Cóż zresztą pomogą narzekania? Z faktami musimy się liczyć, a faktem jest, żę ciocia jutro rano jedzie z nami... na to niema rady. Czy pani pisała o konie? — zwrócił się do Natalci.

— O konie! Ach, zapomniałam!

— Boże! Cóż teraz będzie! Tak liczyliśmy na panią! — zawołała Stasia.

— Każdemu może się to zdarzyć, — rzekła gniewliwie Natalcia, — czy pani nigdy o niczem nie zapomniała?

— No, tak, ale iść pieszo z pakunkami kilka mil, to średnia przyjemność.

— A na stacyi nie znajdziemy fiakrów? — spytała Romcia.

— Skądże? — powiedziała zniecierpliwiona Natalcia, — Skibicki mówił, ze to mała stacyjka w szczerem polu. Koni nie dostaniemy, — kończyła zmartwiona.

— Ale jak można było o koniach zapomnieć? — rzekł z wyrzutem Marski, — czy ty, Lolku nie mogłeś dopilnować?

— Przypominałem, sam ofiarowałem się napisać o konie, ale pani Natalcia nie pozwoliła.

— I cóż z tego? — uśmiechnęła się Natalcia, — z faktami liczyć się trzeba, jak pan sam przed chwilą mówił, trzeba coś poradzić, od czego wy jesteście tutaj?

— Istotnie, to głupio bez koni, — powiedział Bachmacki, — nas jest sześć osób...

— Siedem, bo ciocia dochodzi, — zauważył Niedzicki.

— Dobrze... niech będzie siedem, no, a rzeczy, pakunki... i nie możemy po nocy przyjeżdżać do nieznanego miejsca.

— Mało, do nieznanego miejsca, — dodał Niedzicki, — ale do nieznanego domu, w dodatku pustego.

— Zapomnieliście panowie, — mówiła zmartwionym głosem Stasia, — liczyć dzieci i służące.

— To prawda, — rzekła Romcia żałośnie, — Boże, co my zrobimy? Jeszcze nas napadną, zabiją!

— No, no, nie damy się, — zaśmiał się Marski, — przecież to nie u dzikich, a swoją drogą, głupio bez koni.

— Chyba nie jedźmy jutro, — powiedziała z rezygnacyą Stasia, — nie mogę narażać mego dziecka na koczowanie w polu.

— Ja muszę jechać, — zawołała stanowczym głosem Romcia, — albo wcale nie wyjadę! Mąż może się rozmyśleć, ciocia Walercia rozgniewa się... ja, jadę!

— I ja muszę jechać jutro, — powiedziała Natalcia, — chociażbym musiała noc pod niebem przepędzić razem z Irenusią. I tak, podjudzają na mnie mego męża na piwie, że ryzykuje tyle pieniędzy, a gdy się dowiedzą, że nie mamy koni, dopiero zacznie się ujadanie na nas; i proszę was, ani słowa o koniach, albo pogniewam się na zawsze.

— No, tak! — rzekł Niedzicki, — ale to wszystko nie zmienia położenia rzeczy, a bodaj ten z pie-

kła nie wyjrzał, kto wymyślił ten Grotów przeklęty!

— Przeklęty nawet ze mną? — spojrzała Natalcia zalotnie.

— Ach, z panią wszędzie dobrze, tylko ta podróż do tej przeklętej dziury bez hotelu, restauracyi, no i ten brak koni.

— Jeśli pani musi jechać, spojrzał Bachmacki rozczulonemi oczyma na Romcię, — musi się znaleźć sposób uchronienia pani od przykrości noclegu w polu.

— Dziękuję panu, — odpowiedziała zarumieniona, — wiem, że pan wszystko może.

— No, nie zawsze, — zaśmiał się Marski dwuznacznie, — bo czasem to wszystko zależy od dwóch osób.

— Święta prawda! — uśmiechnął się Bachmacki, — wracając jednak do podróży, sądzę, że Lolek mógłby się poświęcić i wyjechać dziś w nocy do Grotowa, ażeby dom i konie dla nas przygotować.

— Tak, to wybornie! — zaśmiała się uradowana Romcia, — wiedziałam, że pan Bolek poradzi dobrze.

— Jak dla kogo, — rzekł Niedzicki z uśmiechem złośliwym; — nie rozumiem, dlaczego właśnie ja mam się poświęcić, a nie Bolek, który podał ten projekt. Jedź ty, kochanku, a my wszyscy będziemy ci bardzo wdzięczni.

— Nie, Lolku, ktoś projektuje, a drugi wykonuje, tak zawsze było i będzie, — uśmiechnął się Bachmacki, — w życiu musi być podział pracy.

— Ja nie myślę jechać, — rzekł Niedzicki, patrząc na zegarek, — pociąg do Grotowa odchodzi za dwie godziny, a jutro muszę załatwić przed wyjazdem ważną sprawę.

— Ja cię wyręczę, — zaproponował Bachmacki.

— Nie! Nie jadę!... Może jednak pojechać Marski, urlop ma i nic mu nie przeszkadza.

— O, przepraszam! — zawołał Marski, — nie mam wcale urlopu od wyższej instancyi, aniżeli mój pryncypał, bo od mojej żony.

— Obrzydliwy wybieg! — śmiał się Bachmacki, — nigdy nie mówisz o tym urlopie, gdy grasz w karty, lub gdy grywasz maryasza z piękną panią, a teraz, gdy możesz nam wszystkim się przysłużyć, wysuwasz straszaka z gutaperki... swoją żonę.

— Zupełnie fałszywie mnie sądzisz, — bronił się Marski, — zawsze tak się urządzam, że żona jest o mnie spokojna, wie, gdzie idę i kiedy przypuszczalnie wrócę. Zaś taki nagły wyjazd w nocy, gdy uprzedziłem ją, że rano jadę szukać mieszkania, przerazi ją, zaniepokoi, może mnie podejrzywać i wreszcie rozchoruje się, a przyznasz, że chora żona to naprawdę wielka bolączka.

— No, no! — zaśmiał się Niedzicki, — prawdziwy kupiec z ciebie, umiesz wściekle blagować z pozorami niewinności uciśnionej, a swoją drogą zablaguj porządnie przed żoną i jedź!

— Jeśli pan Julek mówi, że nie może, to napewno tak jest, — pospieszyła z pomocą Marskiemu pani Stasia.

— Wiecie co, — rzekł po namyśle Bachmacki, — prawdę mówiąc żadnemu z nas nie chce się jechać, więc niech los rozstrzyga. Zgoda?

— Hm... a jeśli na mnie padnie? — wahał się Marski.

— To pojedziesz, od tego słowo, — powiedział Bachmacki.

— Ano, trudno, — westchnął Niedzicki, — niech los rozstrzyga! Pani Natalcia zrobi węzełek, a kto wyciągnie, ten jedzie.

— O, przepraszam! — zawołał Bachmacki, — żadnych węzełków, to los z góry rozstrzygnięty!

— Czy pan myśli, że oszukuję? — zarumieniła się Natalcia.

— Nie myślę, — zaśmiał się, — ale jestem pewny tego. Pani nie z rozmysłu, ale mimowolnie zdradzi Lolkowi oczyma, który jest węzełek.

— To impertynencya! — rzekła obrażona.

— Nie, pani, to prawda, i ja projektuję inny sposób. Pani Romcia wybiera z nowej talii trzy karty; dwie czerwone, jedną czarną, naprzyład dwa kara i pik; rzuca w oczach wszystkich do kapelusza, pani Natalcia miesza karty w kapeluszu, a pani Stasia wyciąga los.

Ponieważ obdzielił wszystkie trzy kobiety rolami, zgodziły się na podany sposób losowania, a Bachmacki dzwoniąc na garsona mówił:

— Wybranemu przez los należy osłodzić ostatnie chwile skazańca, i wypijemy jego zdrowie szampanem.

Garson przyniósł talię kart i wino, i według przyjętego planu, Romcia wybrała trzy karty i rzuciła do kapelusza; pani Natalcia pomieszała, a Stasia odwróciwszy oczy od kapelusza nakrytego serwetą wybierała. W chwili gdy nakrywano kapelusz, zdążyła jednak Stasia zauważyć czerwoną kartę leżącą z boku i tę zachowała dla Marskiego.

— Kto pierwszy? — spytała, kładąc rękę w kapelusz.

— Dla mnie ciągnie pani pierwszą kartę, — zawołał Niedzicki.

Wyciągnęła kartę i położyła na stole.

— Czerwona, — krzyknął ucieszony.

— Ja drugi! — rzekł Marski.

— Czerwona!

— Może pani sobie oszczędzić ciągnienia, — powiedział Bachmacki z ukłonem, — na mnie padł los. Jadę!

— Odprowadzimy cię na kolej z paniami, — pocieszał go Niedzicki.

— Bardzo chętnie poszłabym, ale nie mogę, to zbyt późno dla mnie, — odezwała się Romcia.

— Otóż zapłata za twe poświęcenie, — zadrwił Marski.

— Pan wie, że nie mogę, — spojrzała czule na Bachmackiego.

— Tu nie! ale za to w Grotowie, — uśmiechnął się porozumiewawczo.

— Tam, co innego! — zarumieniła się.

— I ja nie mogę iść na dworzec, — rzekła Stasia, — mąż czeka na mnie.

— Dziękuję paniom i wam za dobre chęci, ale wyjadę sam, bo muszę jeszcze wstąpić do domu i spakować rzeczy.

— Tylko się pan nie spóźnij, — upomniała Natalcia, — i nie zapomnij pan wysłać konie po nas.

— Czy jestem podobny do pani, ażebym miał zapomnieć? — zaśmiał się.

— O, jesteś brzydszy, nawet o wiele, wiele brzydszy! — zażartował Niedzicki.

— Czy naprawdę, pani Romciu? — spytał Bachmacki.

— Nie wiem, — zapłoniła się.

VIII.

Pociąg w kierunku Grotowa odchodzi o godzinie dziesiątej rano.

W czasie normalnej ilości podróżnych panuje, jak wszystkim wiadomo, na jaki kwadrans przed odejściem pociągu hałas; gwałt; krzyki; nawoływania; potrącania; płaczliwe pytania; surowe odpowiedzi; delikatne prośby; szorstkie odprawienia; a wśród tego tłoku i krzyżujących się interesów, majestatycznie spokojnym jest urzędnik, widoczny po czerwonej czapce, wyprawiający pociąg; pogodny komisarz policyjny rzucający błyskawiczne, badawcze spojrzenia; konduktorzy zachowują godną podziwu równowagę, i mają zawsze na zawołanie despotyczne wskazówki dla podróżnych; wreszcie zobojętniali posługacze, nazwani z polska po niemiecku: „pakierami".

Jeśli tedy w normalnych czasach przeciętny człowiek widząc te gwałtowne ruchy, nagłą bieganinę, popychania, potrącania, z towarzyszącymi krzykami, może nabawić się rozdrażnienia nerwów, cóż dopiero, gdy nastaje na dworcu sezon przyjazdu Królewiaków i gości galicyjskich do zdrojowisk i miejsc letnich wywczasów.

Nic też dziwnego, że trzy panie wraz z ciocią Walercią, dwojgiem dzieci i trzema sługami, nieprzyzwyczajone do tych porządków kolejowych, oszołomione i przerażone tym chaosem, skupiły się jak owieczki przy kawałku ściany na peronie, obstawiwszy siebie w bezwiednej obronie całym wałem podręcznych pakunków, każda bowiem szanująca się kobieta, jadąc koleją, posiada co najmniej trzy pakunki ręczne, nie licząc torebki, parasolki, żakietu, szala, pledu, chustki jedwabnej i torebki z zapasami do jedzenia, zaś młodsze i ładniejsze mają dodatkowo cukry, owoce i kwiaty.

Wszystkie trzy panie były rozdrażnione i bardzo niespokojne, ale już najbardziej Natalcia, której mąż zapowiedział, siedząc już w dorożce, zrobienie niespodzianki w podróży. Już w mieszkaniu zauważyła niezwykłe zachowanie męża, który czule pożegnał się z Mimusiem i polecił go gorąco uwadze dziewczyny, mającej przyjechać we dwa dni później do Grotowa ze suknią pani dotychczas niegotową. Z nią i z Irenką wcale się nie żegnał w mieszkaniu, ani też wygłosił uwag, ażeby strzegła się złodziei i przygodnych znajomości z mężczyznami.

W dorożce, czyli tak zwanym po krakowsku „fiakrze", mąż miał minę tajemniczą i mimo próśb i nalegań, ażeby powiedział coś o gatunku niespodzianki, wykręcał się ogólnikami. Naprawdę Szabelski obawiał się gniewu żony, gdy dowie się, iż on ma jej towarzyszyć, i będzie to uważała za brak zaufania i traktowanie jej jako osoby lekkomyślnej i upośledzonej. Ułożył się też z Wineckim i Orszyckim, że oni obydwaj namówią go przy żonie i zmuszą do towarzyszenia jej do Grotowa.

Natalcia śledziła też bacznie swego męża, który wraz z Wineckim i Orszyckim szukał wygodniejszego miejsca po wagonach.

Widziała jak chodzili od jednego konduktora do drugiego; jak naradzali się z posługaczami, jak przebiegali od lokomotywy do ostatnich wagonów i stawali bezradni.

W oddali mignęły się jej sylwetki Niedzickiego i Marskiego, ale natychmiast gdzieś zniknęli w tłumie.

Nareszcie trzej panowie udali się do pana z czerwoną czapką, ten słuchał ich przez krótkką chwilę, zawołał konduktora i wydał rozkaz, który widocznie zadowolił panów, gdyż po opatrzeniu wagonu, wrócili do swych żon.

— Powiadam ci duszko, że tak pełno w wagonach jakby natłoczył kapusty. Mysz nie zmieściłaby się, — upewniał Szabelski.

— To, panie tego, wszystko przez tych przybłędów Królewiaków, — rozwodził sie Orszycki, — najeżdżają nas, tłoczą się, i co lepsze miejsca, wszędzie oni.

— A tak, separatki dla nich, wagony dla nich, — narzekał Winecki, — gdzie tylko spojrzeć, wszędzie napis: „bestellt", a niechże dyabli wezmą takie porządki!

— Mężu, ostatecznie miejsce jest, czy nie, — spytała Natalcia surowo.

— Jest duszko, jest! Separatka, sam pan naczelnik kazał dać na dziesięć osób.

— Jakto na dziesięć? Nas jest razem z dziećmi dziewięć, — policzyła Natalcia.

— Ale, bo to widzisz, — bąkał zmieszany, — właśnie postanowiliśmy... to jest oni postanowili, — spojrzał na Wineckiego i Orszyckiego, — ażeby dla wygody... co? czy nie tak? — zwrócił się do dwóch panów.

— Otóż to, — zaczął z powagą Orszycki, — już w piśmie świętem stoi, że źle samej kobiecie, więc Pan Bóg...

— Przepraszam pana, — zawołała piskliwym lekko skrzeczącym głosem ciocia Walercia, niska, zasuszona panna, z cerą ziemistą, — pan nie zna słów pisma świętego...

— Pociąg odejdzie, — zawołała energicznie Natalcia, — mów, o co idzie?

— Do odejścia pociągu mamy piętnaście minut, — rzekł Winecki.

— O, przepraszam, dziesięć! — sprzeciwił się Orszycki, — mój zegarek nie chybia o sekundę nawet.

— Ferdziu, prowadź Irenusię, mam ręce zajęte!

— Zaraz... no, gadajcie! — patrzał chmurny i zniecierpliwiony na przyjaciół.

— Uradziliśmy, — rzekł rezolutnie Winecki, — ażeby radca Szabelski odprowadził panie do Grotowa. Boże broń wypadku, a tu, panie, same kobiety i dzieci.

Natalcia i Stasia osłupiały, zaś Romcia zadowolona, że Bachmacki nie będzie w pociągu, patrzała na przyjaciółki bardzo zaciekawiona.

Nareszcie oprzytomniała Natalcia i zawołała z niekłamanym żalem:

— Więc to była ta niespodzianka, Ferdziu, i dlaczego mi nie powiedziałeś? Czyż byłabym ci broniła?... Teraz, to chyba ja zostanę, bo któż załatwi mi moje sprawunki?

— Natalciu, jutro w południe wrócę do Krakowa i wszystko zrobię, co mi poleciłaś, a za dwa dni wraz z twoją suknią odeślę ci do Grotowa.

— Nie! Nie chcę... zostanę w Krakowie.

— Ale słowo ci daję, że odbierzesz wszystko w porządku, a wiesz, że słowa dotrzymuję.

— Nie pojadę! — upierała się, mając przed oczyma obraz spotkania się męża z Niedzickim w wagonie.

— Chyba, że pani ma coś do ukrywania w podróży, — uśmiechnął się złośliwie Winecki, — bo żona tylko cieszyć się może, gdy mąż jej towarzyszy.

— Nic nie mam do ukrywania, — zaczerwieniła się.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Psy na wojnie.

Najwierniejszy z czworonogów, przyjaciel człowieka, pies, oddaje mu też i w czasie wojny nieocenione wprost przysługi. Za granicą poznano się już na nich i używa się przedstawicieli psiego rodu do pomocy sanitaryuszom przy wyszukiwaniu rannych i zabitych na pobojowisku.

Dzięki znakomitemu swemu węchowi i wzrokowi oraz pojętności w krótkim czasie daje się pies ułożyć do tego celu, a służba to bardziej dlań zaszczytna, niż na przykład dotychczasowe używanie go do tropienia zbrodniarzy.

Już dawniej posługiwali się zakonnicy z góry św. Bernarda specyalną rasą psów, które wyszukiwały zaginionych wśród górskich śniegów wędrowców i dawały o tem znać, dziś przekonano się, że także i inne gatunki mogą być do tego użyte.

W tym celu służba sanitarna różnych państw zaopatrzyła się w tresowane psy, które wyprowadzone na pole walki wyszukują rannych i zabitych i głośnem szczekaniem dają o tem znać. Jeżeli pies zapuści się zbyt daleko, tak, że głos jego stamtąd nie dochodzi i znajdzie tam rannego, zniecierpliwiony długiem czekaniem, zdziera mu czapkę z głowy i spieszy z nią do swego pana, by mu dać w ten sposób znać, że ma iść za nim z pomocą nieszczęśliwemu.

Inny gatunek krąży znów po pobojowisku, mając u obróży przytwierdzony pakunek środków orzeźwiających lub opatrunkowych, silne wreszcie i wielkie okazy używane bywają jako zwierzęta pociągowe przy przewożeniu rannych na odpowiednio sporządzonych lektykach.

Prócz służby sanitarnej, to jest wyszukiwania rannych i zabitych, używa się psów w czasie wojennym także i do tropienia nieprzyjaciela.

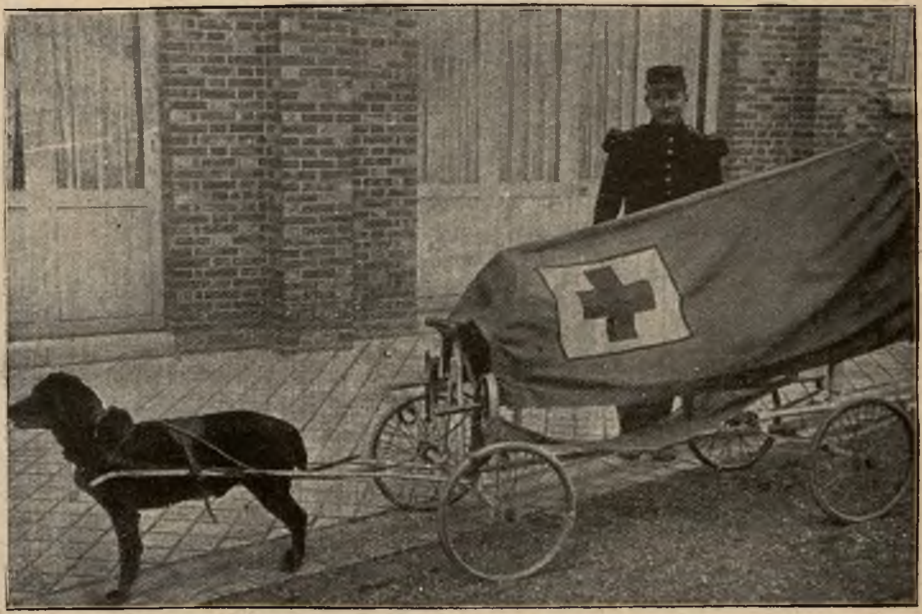
I na tem polu oddają one wojskowości ogromne usługi dzięki swym, wyżej wspomnianym przymiotom. Żołnierz, stojący na warcie, o ile ma obok siebie wytresowanego psa, może zupełnie nie obawiać się wroga, choćby nawet uczynił nań zasadzkę. Czworonożny przyjaciel zdaleka go już poczuje i naprowadzi na jego ślad.

Tu i ówdzie używa się psów także i do ciągnienia karabinów maszynowych lub lekkich armatek, wózków z amunicyą lub prowiantem.

Słowem, nie tylko w pokoju, ale i w czasie wojny pies spełnia przy boku człowieka wiernie swój obowiązek, słusznie też obok konia cieszy się jego największą sympatyą i przywiązaniem.

Szereg illustracyi, zamieszczonych w niniejszym numerze, przedstawia różne sceny z życia psa, służącego człowiekowi na placu boju.





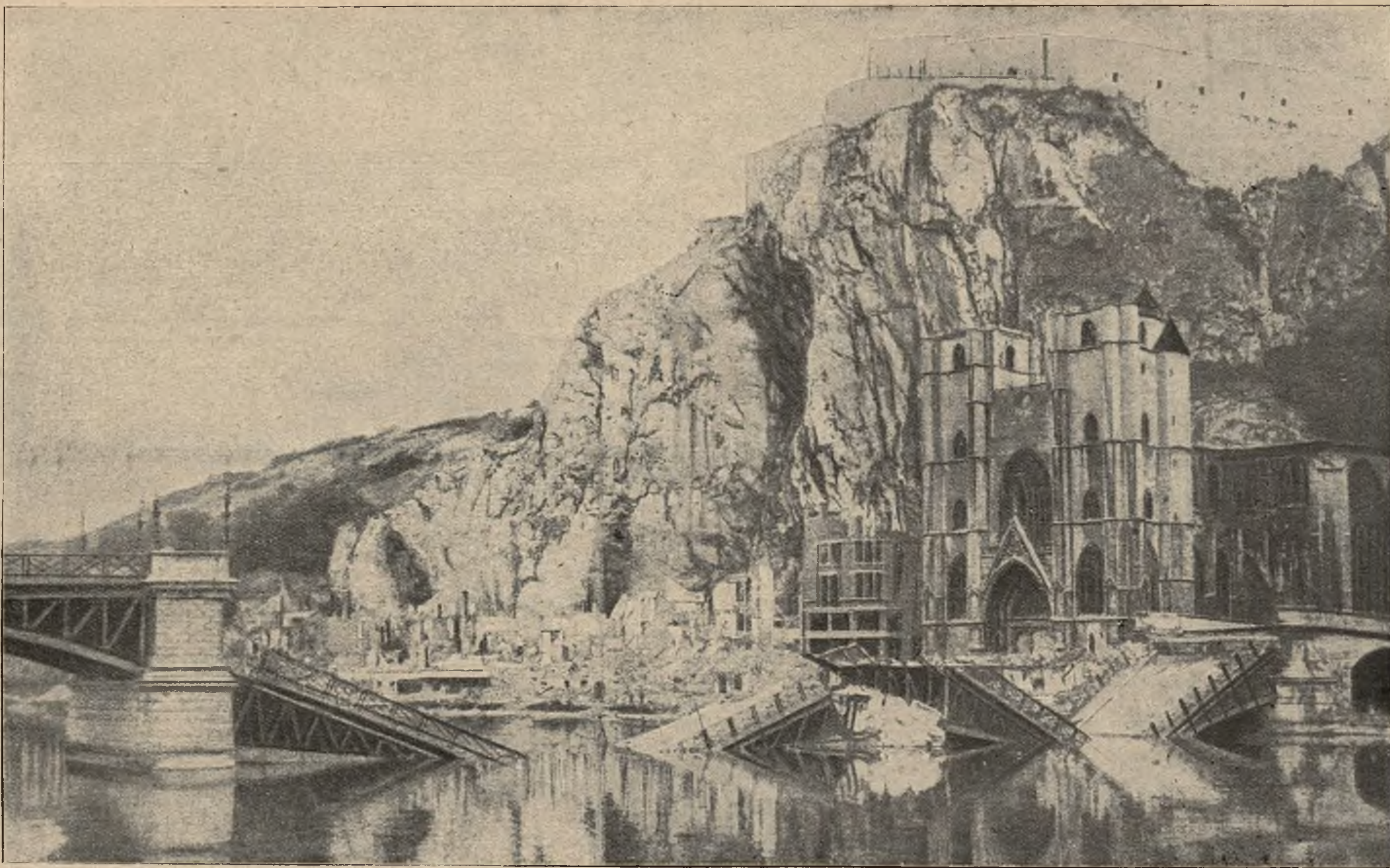
Pies z Czerwonego Krzyża daje znać o znalezieniu rannego. **Psy na wojnie:** Wózek francuskiego Czerwonego Krzyża, ciągniony przez psa.

Pobita Belgia.

Niepotrzebnie wplątana w obecną wojnę Belgia odczuła ją najokropniej, ma już prawie cały kraj zniszczony, miasta zburzone i armię rozbitą. Bronią się wprawdzie szczątki jej wojsk w Antwerpii pod wodzą samego króla Alberta, lecz rozpaczliwy ten opór nie zmieni smutnego losu rozbitego państwa. A jednak powiadają, że wojna Belgii z Niemcami była niepotrzebna, że Belgia mogła przyjąć warunki Niemiec i zachowując neutralność, przepuścić wojska niemieckie. Zachowałaby nadto ważną rzecz, bo — całość państwa i życie tysięcy obywateli, poległych w morderczych a bezcelowych walkach. Historya wypowie słuszną opinię o obecnej postawie Belgów, teraz już jednak stwierdzić można ich straszną klęskę i ewentualną utratę niepodległości. Jeszcze raz sprawdziło się na królestwie belgijskiem spiżowe prawo wojny, że poczynać ją i prowadzić może tylko silny lub absolutnie pewny swych sprzymie-



Anglia w wojnie europejskiej: Strzelcy szkoccy na moście pontonowym we Francyi.



Pobita Belgia: Zniszczony most w Dinant.



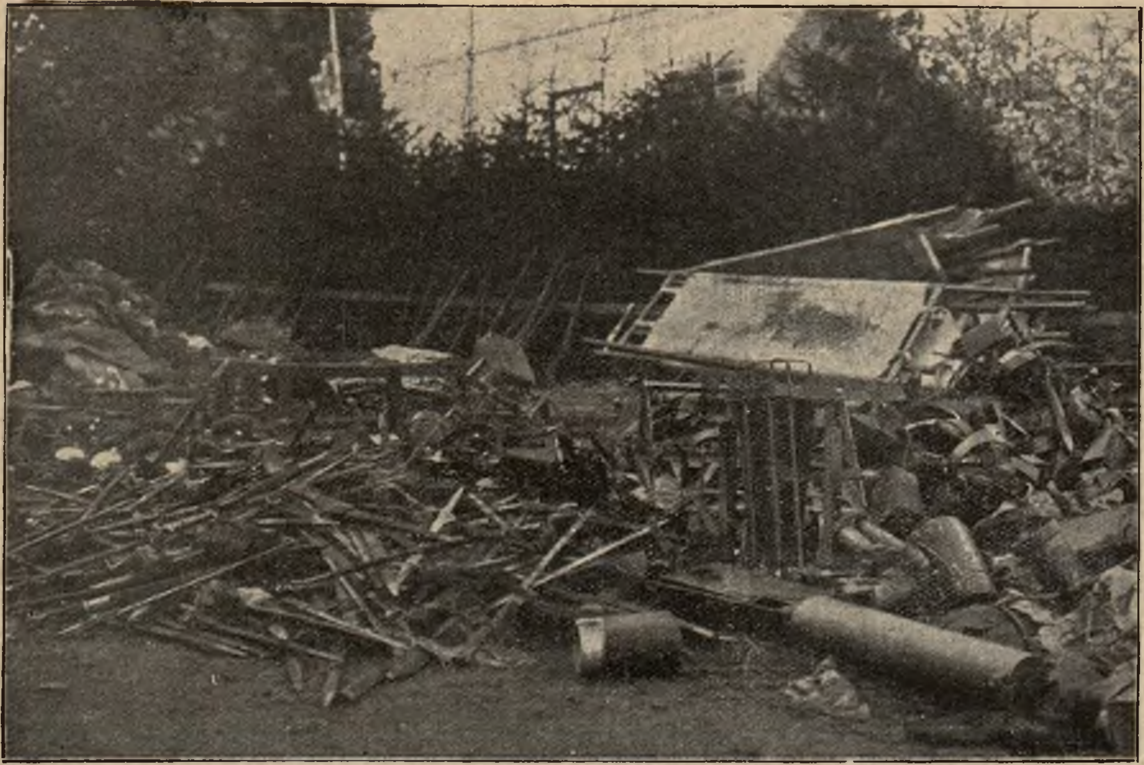
Pobita Belgia: Piechota niemiecka przed ratuszem w Brukselli.



Pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich: Ludność z pogranicza rosyjsko-pruskiego zbiegła do Elbląga



Pobita Belgia: Plac św. Mikołaja w Dinant po zbombardowaniu.



Pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich: Zdobyte pod Tannenbergiem karabiny rosyjskie z amunicyą.



Psy na wojnie: Pies daje znać o znalezieniu rannego, niosąc jego czapkę na posterunek Czerwonego Krzyża.

rzeńców, jeżeli n. b. ma się na nich opierać. Sprzymierzeńcy Belgii — Anglia i Francya — nie dali jej odpowiedniej pomocy z wielu powodów, pierwsza — bo nie leżało to w jej interesie, a druga zaś sama była w wielkiem niebezpieczeństwie, poniósłszy szereg klęsk niepowetowanych. Tak więc Belgia, pozostawiona samej sobie, padła pod przewagą sił niemieckich. Padła mimo świetnych momentów obrony swych twierdz i mimo mniej zaszczytnego sposobu walki rozpaczliwej przez ludność cywilną i t. zw. franctireur'ów. Strzelanie do żołnierzy z ukrycia w czasie ich spoczynku i t. p. zostało przez wojska niemieckie srogo ukarane, szereg miejscowości z przepięknem Lowanium na czele zostało wskutek tego zburzonych. Od Malmedy, granicznej miejscowości belgijskiej, do Liége i dalej walczyli żołnierze niemieccy z franctireur'ami, którzy szarpali ich armię każdej chwili, w dzień i noc, używając najróżniejszych podstępów. Przepuszczali oni zwykle pierwsze patrole, a potem skrytym atakiem uderzali na idące za nimi większe oddziały. W domach, z których strzelano do wojsk niemieckich, czyhały na żołnierzy różne zasadzki, różne podstępy, wszędzie zaś niszczono zapasy żywności i studnie. Zemściła się jednak ta rozpaczliwa walka na Belgach, nie obronili swej ziemi, a pozostałe im nieliczne miasta są już poważnie zagrożone. Ostatnio nad Antwerpią i Ostendą pojawiły się Zeppeliny — zwiastuny armii niemieckiej, a może i jej rychłego wkroczenia.



Psy na wojnie: Funkcyonaryusze Czerwonego Krzyża z czworonożnymi pomocnikami.

Pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich.

„Pamiątki wzięcia Berlina" wybili sobie w miedzi Rosyanie, pewni pomyślnego obrotu obecnej ich wojny z Niemcami. Życie jednak przeczy zamierzeniom i planom ludzkim, a wojna najbardziej ze wszystkich ludzkich przedsięwzięć gotuje uczestnikom niespodzianki. Obecnie też jesteśmy świadkami wielkiego zawodu, jaki spotkał potężną i zaufaną w swą siłę Rosyę, sprzymierzoną z władczynią mórz t. j. Anglią i bankierem Europy, czyli Francyą. Zaangażowanie Austryi w Serbii i Niemiec we Francyi oraz systematyczne przygotowanie się napełniało Rosyę najlepszą otuchą, to też parła do wojny, która może zadać jej cios śmiertelny. Problematyczne sukcesy i rzekomo zwycięski pochód wojsk rosyjskich we Wschodniej Galicyi, gdzie miały one pięciokrotną



Psy na wojnie: Żołnierz austryacki z psem na warcie.



Pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich: Pruscy pospolitacy sortują zdobycz z bitwy pod Szczytnem.

przewagę nad armią austryacką, zostały już powstrzymane na linii twierdz pancernych. Zanim jednak doszli aż do nich utracili Rosyanie całe armie wojsk i tylko ich olbrzymia liczebność umożliwia im dalsze operacye. Te jednak pójdą już w innem tempie i... zdaje się z innym rezultatem, którego napewno nie mają w swych planach. Wytrzymaniem przez miesiąc tej nawały moskiewskiej zwalonej na Wschodnią Galicyę, wystawiła sobie armia austryacka świetne świadectwo siły i bohaterstwa. Są zaś takie sytuacye wojenne, iż beznadziejny opór równa się klęsce i chcąc jej uniknąć, dla następnej akcyi cofały się wojska austryackie, srodze dziesiątkując następujące na nie siły Rosyi.

Podczas kiedy nasze wojska zmagały się na śmierć



Na teatrze wojny europejskiej: Książę Ruprecht bawarski, zwycięzca z pod Metzu.

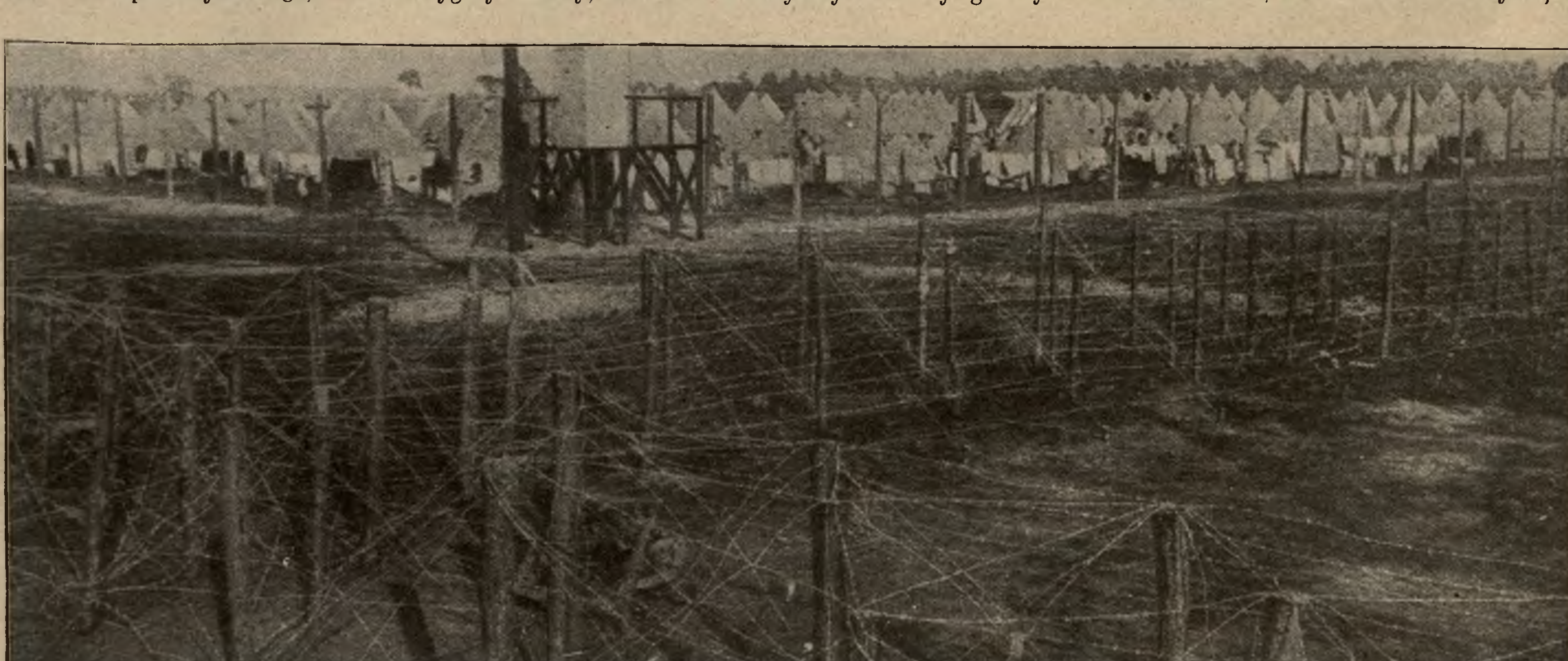
i życie z Moskalami szczęście sprzyjało armii niemieckiej w Prusach Wschodnich, dowodzonej przez świetnego generała Hindenburga. Po wielkiem zwycięstwie pod Tannenbergiem i Szczytnem wyparli Niemcy ofenzywę rosyjską z Prus, która ograniczyła się na chwilowem zajęciu kilku pogranicznych wsi i miasteczek, a naturalnie zniszczeniem ich i spaleniem. Armia niemiecka zajęła następnie Augustów i Suwałki, i opróżniwszy cały kraj z luźnych dywizyj rosyjskich zdobyła Szczuczyn i Grajewo. Operujący na tamtym terenie Rennenkampf z armią wileńską słał przeciw wojskom niemieckim korpus za korpusem, lecz wszystkie one ulegały jednemu losowi, t. j. rozbiciu. Ostatnio wreszcie dokonali Niemcy doszczętnego pogromu Rosyan, a w bitwie nad jeziorami Mazurskiemi rozbitą została zupełnie armia, składająca się z 2, 3, 4, 20 i 22 korpusu armii, z 3 korpusu sybirskiego, z 1 i 5 brygady strzelców, z 52, 54, 56, 57, 72 i 76 dywizyi rezerwy, oraz z 1 i 2 dywizyi kawaleryi gwardyi. Dotychczas zdobyto na rozległych polach bitwy wiele sztandarów, około 30.000 nierannych jeńców.



Pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich: Zdobyte karabiny rosyjskie



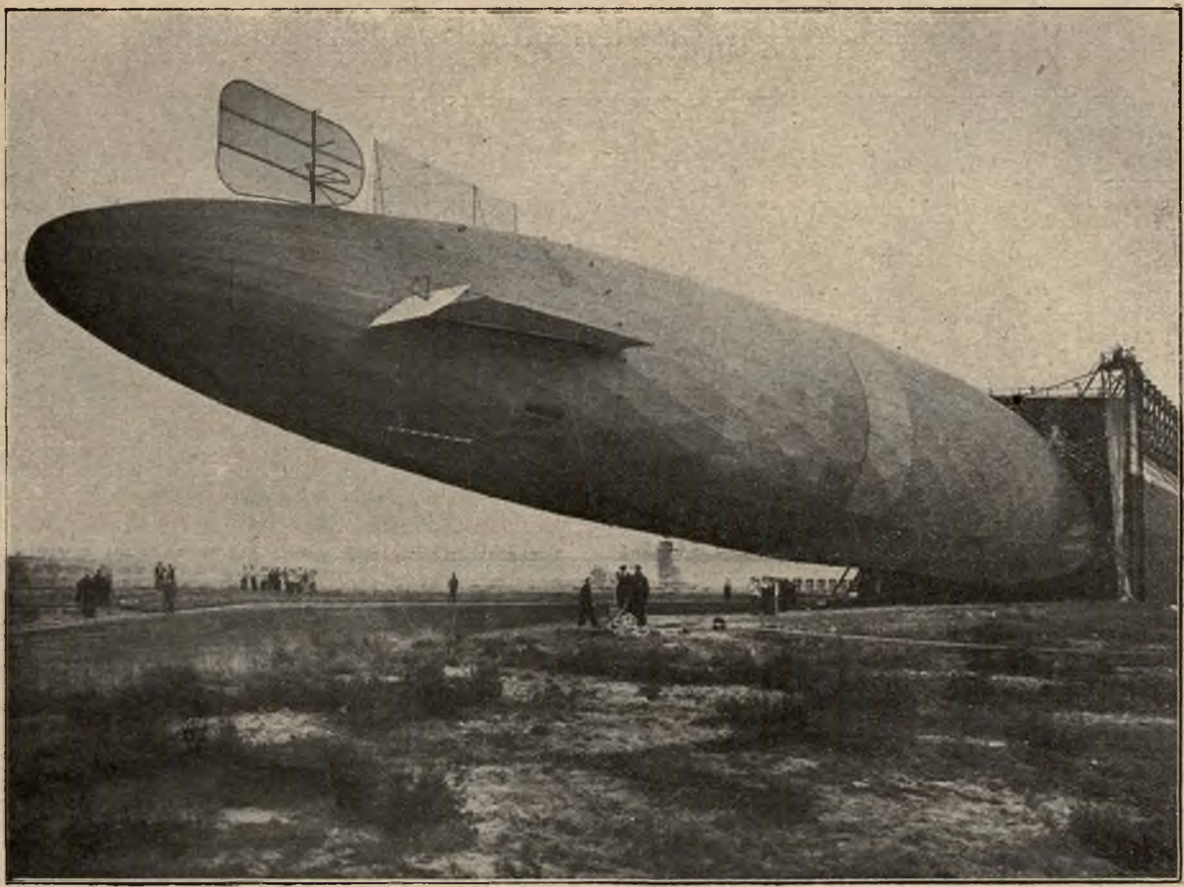
Pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich: Transport jeńców rosyjskich na stacyi w Inowrocławiu.



Anglia w wojnie europejskiej: Obóz niemieckich jeńców pod Aldershot w Anglii.




Odpoczynek. **Na teatrze wojny europejskiej**: Armia niemiecka w marszu. Przy kuchni polowej.



Anglia w wojnie europejskiej: Postrach Anglików — balon Zeppelina.

najmniej 150 dział, wiele karabinów maszynowych, wagonów amunicyi i wiele wozów wojennych. Ilość zdobyczy wciąż wzrasta. To doszczętne rozbicie dwóch armii: nadwiślańskiej i wileńskiej oczyściło zupełnie z Rosyan Prusy a pojedyncze kolumny gen. Rennenkampfa zostały rozerwane, tak że Niemcom nie grozi już zupełnie inwazya rosyjska z tej strony. Krwawe walki toczyły się na kilkunastu wielkich polach, to też straty obustronne są znaczne, a wojska niemieckie miały przeciw sobie pierwszorzędne siły rosyjskie, przeznaczone na tryumfalny wjazd „do Berlina". Rosyjskie pułki liniowe okazały się doskonale uzbrojonymi i wyćwiczonymi, a takie głównie w bitwach tych brały udział. Bitwy pod Gierdawami, Nordenborgiem, Węgoborgiem i t. p. toczyły się w niekorzystnej dla Niemców sytuacyi; Rosyanie mieli pozycye obronne od tygodni przygotowane, a wiadomo że oni są wynalazcami i mistrzami w okopywaniu się, co poraz pierwszy w wojnie krymskiej zastosowali. Jak się okazało piechota rosyjska nadaje się świetnie do defenzywy, i w niej jedynie może zmierzyć się z wojskiem niemieckiem, mimo jednak strasznych wysiłków i mężnej walki nie ostali się tam Rosyanie i wyrzuceni z pozycyj musieli uciekać w popłochu. Tem też świetniejsze są zwycięstwa niemieckie w Prusach Wschodnich, bo przełamały olbrzymią masę wojsk rosyjskich, pierwszorzędnych i poważnie zagrażających ich krajom. Armia gen. Hindenburga dokonała świetnie swego zadania i przekonała wielu, że nie powinny nas przerażać chwilowe postępy Rosyan w naszym kraju, bo przeciwstawią im się, obok naszych mężne wojska niemieckie, które w spotkaniach z Rosyanami notują same zwycięstwa.



Na teatrze wojny europejskiej: Francuskie kuchnie polowe.



Zgon króla filmu: Maks Linder w komedyi p. t. „Nadmierne powodzenie". (Ze zbiorów kinoteatru „Nowości")

Na teatrze wojny europejskiej.

Olbrzymia bitwa, której front ciągnie się przez kilkaset kilometrów Francyi północnej i wschodniej, toczy się ciągle bez większych rezultatów. Francuzi walczą rozpaczliwie, wiedząc, że walki te będą rozstrzygające. Najgorętsze starcia toczą się na linii między Oise a Mozą, która dochodzi aż do twierdzy Verdun. Centrum francuskie zostało wyparte z Reims, przyczem wskutek strasznego bombardowania tego miasta przez obie strony, ucierpiała wielce słynna katedra i inne starożytne jego zabytki.

Na tym terenie toczą się homeryckie iście boje, bo obie strony walczą zawzięcie, wydzierając sobie piędź po piędzi. Armia niemiecka zatrzymana w swym pochodzie zmieniła ostatnio plan działania, formując dwa fronty przeciw francuskim fortecom.

Z Prus Wschodnich nie słychać już o bitwach; po zniesieniu armii gen. Rennenkampfa posuwają się wojska niemieckie w głąb Żmudzi.

Na bliskiej Północy też nie zaszło nic ważnego, ostatnie wiadomości pism niemieckich doniosły niesprawdzoną wiadomość o podróży balonu Zeppelina nad Warszawę i rzuceniu przez niego paru bomb na miasto. Wnosić można z tego, że armia niemiecka przygotowuje lub też już rozpoczęła ofenzywę w tym kierunku.

Zgon króla filmu.

Miłośnicy kina z serdecznym żalem przeczytali w tych dniach wiadomość o tragicznej śmierci ulubieńca publiczności kinowej, człowieka, bodaj że najpopularniejszego na obu półkulach — Maksa Lindera. Sam dźwięk tego nazwiska wywoływał na ustach życzliwy uśmiech, wydrukowanie zaś na afiszu było najlepszą przynętą dla tłumów, żądnych wrażeń świetlnych. Jego niewyczerpany humor, wrodzona *vis comica*, nadzwyczajna pomysłowość, a nadewszystko prawdziwie francuski dowcip, jaki przejawiał w setkach odtwarzanych przez się fars i komedyi, uczyniły z Maksa króla filmu, już przy pojawieniu się bezcielesnem na ekranie, witanego salwą śmiechu i oklasków. Maks Linder był nie tylko świetnym artystą komikiem, ale też i reżyserem oraz autorem wszystkich „kawałów", jakie inscenizował. W smutnych czasach ostatnich nazywano go najweselszym człowiekiem w świecie, bo bawił i rozweselał najzatwardzialszych neurasteników. Jego białe kamasze i kamizelka stosowana przeszły do mody pod nazwą „à la M. Linder" a czarne jego wąsiki i takież śmiejące się oczy, wywoływały niejedno ciepłe westchnienie z piersi, okrytych bluzką i staniczkiem — tembardziej, że ...wesoły ten młodzieniec miał mieć ze swego procederu do — miliona kor. rocznego dochodu i — był kawalerem. Niestety, żadne z podobnych marzeń już się nie ziści, bo w obecnej wojnie Maks Linder, który na własnym samochodzie był przy armii francuskiej porucznikiem korpusu automobilowego — zginął tragicznie wskutek wypadku pod Metzem. W szybkiej podróży na czele oddziału trenowego zepsuł się wóz Maksa Lindera i jadące za nim ciężkie wozy przywaliły go, zabijając na miejscu. Tak niezwykle tragicznie zginął wesoły Maks Linder, wywołując żal kolegów i wielbicieli jego niepowszedniego talentu.



Zgon króla filmu: Maks Linder (Ze zbiorów kinoteatru „Uciecha").



Pogrom Rosyan w Prusach Wschodnich: Transportowanie jeńców rosyjskich w głąb Niemiec.

Kronika tygodniowa.

Jako wojenny kronikarz „Nowości Illustrowanych“ zdecydowałem się nareszcie wyruszyć na plac boju, na razie jednak nie wiem jeszcze, do której się przyłączyć armii. Na wojnie w każdym razie nie jest bardzo bezpiecznie, lepiej i wygodniej siedzieć w domu, zwłaszcza że i tam nie miałbym wolnej woli, ale bardzo energiczne *oberkommando* w osobie mojej szczigodnej połowicy, która oświadczyć raczyła zupełnie stanowczo, że samego mnie nie puści, ale chce, jako prawdziwa dozgonna i wierna towarzyszka życia nie opuszczać mnie aż do śmierci, jak to czynić przed ołtarzem przysięgła.

Ten dowód miłości wzruszył mnie do głębi, wytłumaczyłem jej przecież, choć dużo mnie to kosztowało, że na razie przynajmniej, umierać nie myślę wcale, jeślibym zaś znalazł się rzeczywiście na polu bitwy, to w każdym razie w bezpiecznem miejscu, dokąd kule nieprzyjacielskie nie dochodzą. Zresztą w rozporządzeniu ministeryalnem, normującem warunki wyruszenia jako sprawozdawca wojenny, niema wcale między tłumokami, które wolno wziąć ze sobą, żony.

Uwierzyła mym słowom, założyła jednak swoje uroczyste *veto*, a od niego, na podstawie naszych konstytucyi domowych, niema apelacyi.

Nie pozostało więc nic innego, jak zostać w Krakowie i czekać, dopóki nie wyjadę w przeciwnym kierunku, gdyby się okazało, że nagromadzone zapasy wojenne nie wystarczą w myśl przepisów na zaspokojenie żarłoczności mej rodziny. Pocieszam się przecież miłą nadzieją, że może w międzyczasie uda się złapać kapryśną Fortunę za ogon i zdobyć na loteryi klasowej bodaj ze dwa tysiące (może być więcej...), zwłaszcza, że ciągnienie trwa aż do piętnastego października.

Opatrzność czuwa nad potrzebującymi, jak to mam dowód na mym przyjacielu, adwokacie, który przez całe dwa miesiące wojenne narzekał na brak dochodów z powodu prawie całkowitego zawieszenia czynności sądowych. W niebiesiech widocznie liczą się z adwokatami, jęki i westchnienia mecenasa nie poszły więc na marne, sam pokazywał mi dwa losy, na które „chycił“ po dwa tysiące i coś ze sześć po dwieście koron. W portfelu nosi nadto jeszcze ich ze dwadzieścia, które czekają dopiero na swą kolei.

Jeśliby kto był ciekawy, jak się ten pan nazywa, nie powiem, obiecał mi bowiem pięć procent *schweiggeldu*, ponadto z panem inspektorem podatkowym żyję na bakier i nie myślę wcale napędzać mu w sieć złotą rybkę. Jestem pewny, że wiedząc, kto to taki, jeśliby nie wymierzył mu podatku od wygranej, to co najmniej podwyższył dotychczas opłacany, motywując swe zarządzenie „szczęściem, jakie ma w życiu“.

Dajmy temu jednak spokój, a przystępujmy do rzeczy.

Zamiast tułać się gdzieś po polu walki, siedzę sobie więc w Krakowie na... stołku redakcyjnym, miast miecza dzierżę w dłoni pióro, czasem zaś nożyczki, huk armat, moździerzy i karabinów maszynowych zastępuje mi trajkotanie kochanej żony, teściowej i trojga pełnoletnich pociech (rodzaju żeńskiego, wobec czego poszukiwani są kandydaci do stanu małżeńskiego, szczególniej zaś mile widziani będą zamożni kawalerowie i wdowcy).

Od czegóż jednak fantazya, a któryż kronikarz bez niej mógłby istnieć? Będę w Krakowie ciałem, ale duchem znajdę się na polu bitwy, odganiając mężnie mieczem lub parasolem granaty, bomby i szrapnele, by przypadkiem który z nich nie wpadł mi za kołnierz. Jednem słowem naśladować będę wojownika, lubiącego opowiadać wszem wobec i każdemu z osobna o swych przewagach wojennych. Postać to stara, unieśmiertelnił ją już nieboszczyk Plautus w swej komedyi *Miles gloriosus*.

W części będę się starał go naśladować, częściowo wezmę sobie za wzór tego lub owego bohatera z nowszych czasów, których mamy dość między sobą.

Gdzie on nie był!... Czego nie widział!... Aż uszy puchną, gdy zacznie opowiadać, a człek, słuchając, powtarza ciągle pod nosem:

— A to, panie łaskawy, łże, jak z nut..

Ale łganie łganiu nie równe, są ludzie, którzy bardzo lubią słuchać tego rodzaju fantastyczne opowieści i udają przynajmniej, że wierzą, by nie speszyć narratora. Przy miłym akompaniamencie słów jego daleko lepiej smakuje pilzner lub okocim, każda bowiem knajpka ma bodaj jednego takiego bohatera głównego i kilku zapasowych, którzy go zastępują, gdy ochrypnie.

Pan taki musi mieć odpowiednie rozmiary cielesne wszerz i wzdłuż, niktby bowiem nie uwierzył, że jakiś tam chudeusz lub niedorostek położył trupem takie masy wrogów. Dawniej, to co innego. Wówczas, za czasów Wołodyjowskiego lub choćby Napoleona, który był wprawdzie nizkiego wzrostu, ale zato dość otyły, walczono zupełnie inaczej, dziś obaj oni mogliby służyć co najwyżej przy *Ersatzreserwie*, jeśli nawet nie przy pospolitem ruszeniu.

Ponadto musi być obdarzonym i donośnym głosem, by bodaj pojedyncze słowa słychać było i na końcu sali, mieć dobry apetyt i nieustające pragnienie, bo tylko taki może mieć siłę w swych muskularnych członkach.

Chętnie słucham tego rodzaju prelegentów, dobrze też wychodzę na tem i choć nosa za rogatki nie wystawiłem, bojąc się, by mi go nie ustrzelono (nie wiem, czy to jest dobre wyrażenie, ale o podobne obraził się na mnie jeden znajomy pigularz, który dotąd zaopatrywał mą apteczkę po znajomości całkiem gratis w olej rycynowy, rumbarbarum i inne domowe środki...), dziś sam widzę, że byłbym zdolny do czynów nadzwyczajnych, mogę więc o nich opowiadać, jako o już dokonanych. Błogosławieni zaś są ci, którzy wierzą, albowiem będą zbawieni!

Otóż, słyszałem niedawno w jednym z lokali podobną rozmowę i o ile pamięć sięga, pozwolę sobie tutaj ją powtórzyć.

Osoby: opowiadający bohater, z zawodu jakiś urzędnik, obecnie pospolitak i grono ciekawych słuchaczów. Przed każdym bomba, naturalnie z piwem. Sala sklepiona, wcale akustyczna, wieczór.

— Więc pan łaskawy był na wojnie?

— No! Niechby tylko nie!

— A w których potyczkach?

— Nie pytaj pan, gdzie byłem!... Raczej zapytaj, gdzie nie byłem!

— Więc gdzie pan nie był?

— Hm.. Jakby to powiedzieć?... Ja nie byłem nigdzie!... To jest... źle się wyraziłem! Dziś już, widzi pan, nie pamiętam nazwy miejscowości, ale to wiem, że tam były drzewa, nad nami niebo. Zdaje się, że płynęła i rzeka, ale na to bym nie przysięgał...

— I strzelali tam?

— A cóż pan myśli?... Dobry sobie! Jak to zaraz poznać burżuja, który nie ma żadnego pojęcia o rzemiośle wojennem... Ale tego można się nauczyć dopiero na polu walki, a nie gdzieś przy piwie... Szrapnele padały jeden za drugim, powiadam panom, jak grad! A trzeba wam wiedzieć, że nieprzyjaciel początkowo napełniał je piaskiem, później, gdy mu brakło piasku, ekrazytem. Jeden z takich szrapneli ugodził mnie w samą głowę i właśnie dlatego straciłem pamięć.

— Taki z piaskiem?

— Nie!... Skądże znowu!... Z ekrazytem!... Mogę panom go pokazać na dowód, że nie kłamię. Mam go w kieszeni kamizelki... Nie!... Pardon!... Zostawiłem w domu. Jutro przyniosę.

— Ależ panie! Szrapnel w kieszeni marynarki? Pan chyba nie widział, jakie szrapnel ma rozmiary?

— Ja nie widziałem...? To pan nie widział! Ja zresztą nie mówiłem, że to cały szrapnel, tylko jego maleńki odłamek, bo on przecież, uderzywszy o moją głowę, musiał eksplodować! O! Ja mam bardzo twardy łeb...

— A dużo wrogów wysłał pan kochany własnoręcznie na tamten świat?

— Ja?

— Tak jest, pan!

— Będzie tego z pewnością co najmniej kilkadziesiąt tysięcy, a może i więcej.,. Osobny jaszczyk z amunicyą musiał ciągle za mną postępować. Raz jednak niewiele brakowało, a byłbym życiem przypłacił. Uratowała mnie jednak moja przytomność umysłu. Idę, panie, polem, sam, jak palec. Jak daleko sięgniesz okiem, ani żywego ducha. Nie miałem zaś przy sobie żadnej broni, prócz szabli, bo rewolwer dałem służącemu do czyszczenia... Wtem nagle z pod krzaku wypada jeździec, za nim drugi, potem trzeci, czwarty, piąty... Nie było czasu liczyć, z pewnością jednak było ich, co najmniej, ze stu... Nie tracąc fantazyi, walę do jednego z przodu, do drugiego z tyłu..

— Co? co?... Z czegóż, jeśli wolno zapytać, skoro pan nie miał przy sobie broni palnej?

— Ja nie miałem? Któż panu o tem mówił?

— Pan sam! Wyraźnie pan powiedział, że dał pan rewolwer do wyczyszczenia!

— Tak! Dałem, to prawda, ale służący zwrócił mi go przed wyjściem i dzięki temu ocalałem. Gdy wrogowie spostrzegli, że co strzał, to trup, w nogi, panie! Ja za nimi, ale nie mogłem ich dogonić, bo mi reumatyzm dokucza i dlatego podałem się o dopuszczenie przed komisyę superarbitrunkową. Gdyby nie to, byłbym wszystkich razem wziął do niewoli!

Ale, co się odwlecze, to nie ucieczel Jeszcze ja im się dam porządnie we znaki.

— No! no! Nie każdy zdobyłby się na coś podobnego...

— Myślę sobie: Sam jenerał gratulował mi na polu bitwy i tak powiada: „Panie oficyale, jestem z pana dumny!“ Wiecie panowie, mój płaszcz przestrzelony został czterdzieści trzy razy! Jestem arcypics, jak mawiał Zagłoba, jeśli kłamię... Mogę pokazać każdą dziurkę, jeśli panowie pofatygujecie się do mnie do mieszkania!

— To jednak dziwne, że płaszcz jest taki ze strzelany, a panu łaskawemu nic się nie stało...

— Bo też ja tego płaszcza nie miałem wtedy na sobie.. Mój bursz suszył go na płocie. Nadjechał nieprzyjaciel i nie zastawszy mnie, a mieli na mnie chrapkę, zemścił się bodaj na mym płaszczu!

— Skądże wiedzieli, że to był pański?

— Albożja wiem?... Dość, że wiedzieli i *szluss!*...

Tego mniej więcej pokroju dyskursy stanowią dla mnie wzór, według nich będę się starał opisywać swe rycerskie przewagi. Mocno żałuję, że nie jestem poetą, utworzyłbym bowiem takie epos, iż nieboszczyk Homer, jeśli wogóle kiedy żył, musiałby się z zazdrości przewrócić w grobie.

Ja jednak niestety nie wierzę dziś w to, czego mnie w szkołach uczono, widzę bowiem, że to była po prostu blaga. Wszak na podstawie zasad matematyki każdy z nas jest przekonany, że trójka, to są trzy jednostki, niech jednak ktoś popatrzy na trójprzymierze i trójporozumienie!... Pierwsze składa się z dwu jednostek, w skład drugiego zaś wchodzą: Anglia, Francya, Rosya, Belgia, Serbia, Czarnogóra, Japonia i Marokko. I na cóż więc się zdało, że miałem w klasie piątej poprawkę z matematyki? Niechbym był wówczas powiedział, że trójkąt ma dwa boki, lub ośm boków, byłbym zrył, jak pies!

Ale prawda! Matematyka co innego, polityka co innego! Wszak i trójkąt małżeński ma nieraz więcej, niż trzy boki...

W jednem tylko zgadza się to, czegom się ongi uczył, z tem, co się dziś dzieje, ale to nie jest matematyka, lecz historya.

Gdy swego czasu Germanowie przetrzepali lekko szarawary Warusowi w lesie Teutoburskim, cezar August wołał z rozpaczą: „Warusie! Warusie! Oddaj mi moje legiony!...“ Dziś powtarza się to samo z tą jednak różnicą, że Augustowi na imię Mikołaj, który płacze: „Rennenkampf! Rennenkampf! Oddaj mi moje korpusy!...“

Ale pocóż lazł tam, gdzie go nie proszono?

Odpowiedź na to: nakazały względy wyższej polityki, te same, które zaprowadziły Moskali ku granicy Węgier. Tak bowiem karakony ciągną do piwa, tak znów Moskale idą do węgierskiej papryki, której używa się jako przyprawy do marynowania. Może się o tem przekonać każdy, kto używa wyrobów pana Warhanka z Mszany Dolnej. W każdej baryłce i w każdej puszce z moskalami znajdziesz oryginalną paprykę węgierską.

Czekajmy więc cierpliwie na ową marynatę, a będzie ona tem smaczniejszą, że moskale dobrowolnie właźą do owej beczki, z której mają wyjść, ale już zupełnie sprawieni, więc bez głów.

W każdym razie imponuje mi ich ruchliwość, tak samo jak z drugiej strony wprawia mnie w podziw stoicki spokój, z jakim zachowuje się flota angielska, która czeka, ale nikt nie wie, na co. Gdyby nie Niemcy, wysadzający od czasu do czasu w powietrze angielskie okręty, nie słyszałby nikt nic o nich, a przecież miała to być eskadra, przeznaczona na zniszczenie wszystkich potęg morskich.

Lord Curzon nie dożyje więc prawdopodobnie tej chwili, w której jeźdźcy bengalscy kłusować będą po ulicach i drogach Austryi i Niemiec. — W Berlinie znajdą się może, lecz w zmienionej nieco roli, nie tej, jakiej się spodziewał, ale jako jeńcy wojenni. Tak przepowiadają zresztą wielcy nasi politycy z „Esplanady“, a ci, jak wiadomo, kierują dziś losami Europy, ba, nawet całego świata!

Wobec tego i ja odkładam na później opis swych przygód na polu b twy. Nawet na wypadek, gdyby wojna wcześniej się skończyła, będę w tem miłem położeniu, że jako naoczny świadek opiszę wszystko, com słyszał na swe własne uszy.

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

18

Arsenały i katakumby.

Galerya ta była nieskończonej długości i zrozumiałem wkrótce, że musiała ona służyć jako środek komunikacyjny z kryształową wieżą, którą opuściłem niedawno, a jedną z tych, które ujrzałem z wysokości platformy. Naprożno siliłem się odgadnąć cel tego dziwnego zabudowania.

Liczne i urozmaicone widoki przesuwały się teraz przed mojemi oczami. To las prawdziwy o ciemno szmaragdowych liściach, nakrapianych lazurem, pnie gładkie i lepkie, miejscami narośnięte muszlami dziwacznych kształtów. Olbrzymie kraby spacerowały po nich, węsząc za żerem.

Dalej, były ogrody o wspaniałych, jaskrawych kwiatach, ponad którymi unosiły się, jak chmura motyli, tysiące srebrzystych zwinnych rybek. Dalej jeszcze otwierały się głębie grot podwodnych. gdzie ujrzałem poruszającą się żywo ciżbę istot ludzkich. Sądziłem, że mam przed sobą kopalnię jakąś, lub łomy kamieni. A wszędzie zauważyć mogłem, że dno morza było starannie kultywowane i regularnie eksploatowane.

Ujrzałem rodzaj parku, przedzielonego głębokimi rowami i murami na wysokość człowieka. W każdym rowie znajdował się skorupiak, podobny do naszych homarów, lecz o wiele większy.

Niektóre dochodziły do pięciu metrów długości, a ich szczypce służyć mogły za broń niebezpieczną, zdolną do przecięcia na dwoje ciała ludzkiego, tembardziej, że umieszczone miały po bokach olbrzymie piły. Każdy z tych potworów uwiązany był w swoim dole. Ujrzałem człowieka morskiego, podobnego do myśliwego, którego spotkałem podchodzącego do nich z ciężkim koszem, napełnionym rybami. Szedł do każdego dołu, rzucając każdemu skorupiakowi wyznaczoną racyę, nie uszedł mi żaden szczegół tej sceny, widziałem wznoszące się w górę szczypce z piłami w oczekiwaniu pożywienia. Była to widocznie metodyczna hodowla skorupiaków, gdzie karmiono je, aby się stały zdolniejsze do pożywienia ludzi podmorskich.

W niewielkiem oddaleniu rozciągała się łąka szmaragdowa, po której pełzały setki dużych żółwi, strzeżone przez pasterza, uzbrojonego w boomerang z czerwonego metalu, któremu towarzyszyły dwie wydry, odgrywające role psów-stróżów. Pasterz zajęty był zbieraniem muszli do kobiałki i nie spostrzegł mnie, pomimo moich wysiłków, aby skierować jego uwagę w moją stronę.

Po przejściu koło tej łąki, strzeżonej przez spokojnego pasterza, znalazłem się nagle przed prawdziwą, zabudowaną wsią. Setki zabudowań o szpiczastych dachach widniało rozsypanych wdzięcznie pomiędzy gąszczami szafirowych i żółtych alg. Widok ten był wprost bajeczny.

Domki o szpiczastych dachach, nakształt dużych muszli, wzniesione były z korala białego i różowego. a wielka ich część była zewnętrznie ozdobiona błyszczącemi, jak srebro, muszlami. Było to miasteczko z perłowej masy i alabastru, uśpione na głębiach spokojnego morza. Przyswojone foki rozciągały się leniwo pod progami domostw. Wąskie okna zaopatrzone były wypukłemi szybami, które, jak mi się zdawało, były zrobione z wypolerowanych skorup żółwi. Wielkie szkarłatne koralowe drzewa. rozrzucone w artystycznym nieładzie, rzucały na białe ściany ciepły różowy refleks.

W pewnych odstępach umieszczone były kolumny, nad któremi wznosiły się wielkie banie, nie mogłem odgadnąć ich celu. Przypuszczałem, że służyły one do oświetlenia i wyobrażałem sobie, jak cudownie musiała wyglądać ta wieś zaczarowana, uśpiona w głębiach morza.

Zresztą oprócz zwierząt domowych nie dojrzałem żadnej istoty ludzkiej. Mieszkańcy musieli być zajęci na zewnątrz polowaniem lub uprawą krzewów i hodowlą swoich stad. Jednakże pomimo gorącego zachwytu, jaki wywołały we mnie te piękne obrazy, odczuwałem coraz silniej męki głodu i pragnienia, a nie miałem żadnej nadziei załagodzenia ich.

Jakże żałowałem, że nie posiadałem organizmu zdolnego do przebywania w głębiach tych wód. Byłbym roztrzaskał szybę, dzielącą mnie od tych wsi podwodnych i poszedł prosić o gościnność mieszkańców tych ślicznych koralowych domków. Z pewnością przyjęliby mnie życzliwie.

Nie wiedziałem już teraz, jaką obrać drogę, byłem prawie przekonany, że na drugim końcu galeryi, którą szedłem, znajdę znowu podobną wyludnioną wieżę, jak ta, którą przed chwilą opuściłem.

Przecież jednak mieszkańcy tego szczególnego pałacu będą się musieli wkońcu ukazać. Pragnąłem tak gorąco wyjaśnienia tej męczącej tajemnicy, męczyłem wyobraźnię, kombinowałem na różne sposoby i wszystko naprożno. Cisza panująca wokoło mnie podwajała tylko moje rozgorączkowanie. Nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję i jakich ludzi czy potworów byłem więźniem.

Usiadłem na ziemi, aby wypocząć trochę i zastanowić się, co dalej czynić mam, gdy odkryłem nizką i głęboką arkadę, która zdawała mi się być umieszczona o piętro niżej pod podwodną galeryą.

Wahałem się zagłębić w to sklepienie półmroczne, kiedy z głębin doszedł do mnie wybuch ostrego śmiechu, już raz usłyszanego w gąszczu nadpowietrznych roślin. Ten śmiech zgrzytliwy, niemający w sobie nic ludzkiego, napełnił mnie w pierwszej chwili przerażeniem. Uczułem lodowate zimno koło serca, a nogi osłabły i zadrżały pode mną na myśl, że będę zmuszony spotkać się z tymi potworami, straszniejszymi od tych wszystkich, jakie dotąd napotkałem. Ale przezwyciężyłem tę chwilową słabość, starając się wzbudzić u siebie zimną krew i rozwagę. Wszystko było lepsze od niepewności, w jakiej byłem pogrążony, a przytem pocieszałem się nadzieją, że istoty dosyć inteligentne, aby wznieść tak wspaniałe budynki, jakie miałem przed oczami, nie mogły być brutalne i bezwzględne. Uwięzili mnie, ale dotąd nie uczyniły mi nic złego. Może byłem tylko dla nich zwierzęciem nieznanem a ciekawem, które pragnęli poznać i zbadać.

Ośmielony tem przypuszczeniem, wślizgnąłem się ostrożnie w ciemny korytarz i zeszedłem po bystrej bardzo pochyłości, która tak jak w innych częściach wieży zastępowała schody.

Trudność oryentowania się w tych ciemnościach byłaby mnie może wstrzymała, lecz niespodziewanie stopy moje natrafiły na jakieś drobne przeszkody, przytwierdzone do gruntu, wielkości dużego orzecha włoskiego. Równocześnie, widocznie przez naciśnięcie jakiegoś ukrytego mechanizmu, całe wnętrze galeryi rozbłysło łagodnem światłem, dostatecznem do dania mi możności rozpoznania miejsca, w którem się znajdowałem.

Stałem chwilę, unieruchomiony zdziwieniem, prawie przekonany, że wstąpiłem w jakieś zaczarowane królestwo i że czarodziejka, kierująca moimi krokami, oświetliła magicznie moją drogę w chwili, gdy rozpaczałem nad brakiem światła.

Ściany miały ten sam odcień szkła, jaki zauważyłem w całym budynku, ale sklepienie było całe pokryte fantastycznymi kwiatami i zwierzętami i stamtąd spływał potok bladego światła.

Postąpiłem kilka kroków naprzód, ale w miarę, gdy szedłem, sklepienie zaciemniało się, a jasność, jak gdyby zmieniała miejsce, poprzedzała mnie, obrzucając mnie świetlaną aureolą.

Zrozumiałem natychmiast, że zjawisko to wywołane było ciężarem mojego ciała, które naciskając ukryty mechanizm pod mojemi stopami, wywoływało to niespodziewane oświetlenie.

Co zaś do natury samej tego bladego światła, nie mogłem jeszcze określić go, być może, że były to gazy fosforyzujące, lub też wywołane było specyalnemi radyami, właściwemi planecie.

Niesiony pochyłością galeryi, zsuwałem się ciągle na dół i kilka razy napotkałem podziemne sklepienia, gdzie schodziły się inne korytarze. Lękając się skręcić w lewą lub prawą stronę, aby nie zabłądzić w tym labiryncie, musiałem się koniecznie trzymać tej prostej drogi.

Nagle znalazłem się w obszernej sali, gdzie ciągnęła się nieskończenie długa linia sztywnych, starożytnych pomników, niektóre wykute w czerwonym porfirze, drugie zaś ulane z czarnego metalu o licznych złoceniach. Posągi te wyobrażały ptaki o ludzkich twarzach, skrzydlate krokodyle i różne gatunki zwierząt o oryginalnej, fantastycznej budowie. Nie mogłem zrozumieć, czy obraz ich był wywołany podniecona wyobraźnią artysty, czy też istniały one kiedykolwiek w naturze.

Przychyliłem się do ostatniego przypuszczenia, ujrzawszy wykutego Erloona z przedziwną dokładnością i staraniem. Cały ten rząd gigantycznych posągów, gubiący się w ciemnościach galeryi, miał w sobie coś dziwnie poważnego i grobowego. Uczułem się niemile dotknięty tym widokiem. Skupiały one na mojej nędznej osobie błyszczące źrenice z drogich kamieni z taką upornością i powagą, jak gdyby chciały mi powiedzieć: „Nie odkryjesz nigdy tajemnicy, której stróżami jesteśmy wiecznymi, nie poznasz nigdy prawdy".

Szedłem dalej niepewnym krokiem. Zdawało mi się, że poza kołem światłości, którą szedłem otoczony, te potwory kamienne i metalowe skupiały się w cieniu, chcąc im zagrodzić drogę i zmusić do odwrotu.

Zakaszlałem, grobowe echo rozniosło się wokoło i powróciło do mnie, przebiegłszy jakąś daleką, niezmierzoną przestrzeń. Byłem pewny, że istota, której śmiech szatański dobiegł mnie przed chwilą, wystąpi nagle z za tych piedestałów i zbliży się do mnie. Ale myliłem się, ta olbrzymia sala zdaje się była opustoszała od wieków, pył szary rzucał niezdecydowany cień na kontury przedmiotów i pogrążał wszystko w półmroku.

Widok tego barbarzyńskiego, pierwotnego otoczenia miał w sobie coś przygnębiającego, czułem na barkach swoich wiekowy ciężar starych cywilizacyj marsiańskich, które zapewne nigdy nie poznam dokładnie.

Doszedłem do końca tej galeryi posągów, tu znowu rozciągała się przede mną inna sala, większa jeszcze od poprzedniej i wypełniona również starożytnymi posągami. Żałowałem, że zaawanturowałem się aż dotąd, jednakże jakaś tajemnicza siła pchała mnie naprzód. Szedłem dosyć prędko, chcąc jak najprędzej przebiedz te nieskończone sale, a teraz zdenerwowany biedz zacząłem.

Otoczony nimbem świetlanym, który rozpalał się pod mojemi stopami, musiałem być podobnym do meteora, zabłąkanego w ciemnościach. Doznawałem zawrotu głowy; po dwu salach, o których wspomniałem, napotkałem szereg innych. Było to prawdziwe podziemne miasteczko, tak obszerne, jak olbrzymie pałace Ang-Kory, lub niektóre stare ruiny egipskie. Musiano zużyć zapewne wieki całe, aby wznieść pod morzem te nieskończone zabudowania. Przystanąłem wkońcu, tracąc nadzieję dotarcia do ich końca. Byłem zmęczony i zgłodniały i niezdecydowany co dalej robić, nie chciałem powracać, a również lękałem się iść dalej.

Odkrycie portyku, dającego ujście do innego podziemnego piętra, rozwiało moją niepewność. — Zeszedłem niżej jeszcze. Sale, które teraz oglądałem, nie były w niczem podobne do poprzednich. Miały wygląd obszernych składów i magazynów. Pierwsza, jaką zwiedziłem, zawierała tysiące słojów szklanych, hermetycznie zamkniętych. W drugiej znowu widziałem wielką ilość balów, niedbale związanych, z materyi, która, jak mi się zdawało, była ze skóry rybiej, specyalnie wyprawionej.

Na widok słojów wydałem okrzyk radości. Przekonanie, że znajduję się w składzie zapasów żywności, przywróciło mi zupełnie utraconą odwagę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.